



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krzysztof Jan Serdakowski

Szosa żyrardowska

Styczniowy ranek był wyjątkowo chłodny i Maria zastanawiała się w co ubrać Janka. Nowy rok już się zadomowił i był to pierwszy dzień tajnych kompletów Janka po Świętach Bożego Narodzenia. Od chwili przebudzenia, jak zwykle nad ranem, zdawało się Marii, że daleki, nieustanny grzmot artylerii sowieckiej jakby się nasilił.

– Jasiu, no wstawaj wreszcie. Za pół godziny musimy wychodzić! – burknęła głośnym szeptem pochylając się nad zaspanym chłopcem. „Mój Boże, żeby się to już skończyło”, westchnęła ciężko wracając do kuchenki z pyrkającą w osmolonym garnuszku kaszą.

Od czasu przeprowadzki do Grodziska Maria czuła się nieco pewniejsza. Edmund w dalszym ciągu bał się nocować w domu, ale mieszkali w „swoim” domku, który kuzynce Marii, Jańci – wychodźcy z powstańczej Warszawy – udało się wynająć dla nich przy szosie żyrardowskiej. Aby przeżyć założyli małą wytwórnię drewnianych zabawek i bardzo ścięganą przez Niemców nielegalną rozlewnię wódki.

Maria i Edmund z trojgiem małych dzieci, z których siedmioletni Janek był najstarszy, nie cały rok temu uciekli w popłochu z pięknego pińskiego mieszkania, zostawiając za sobą korzenie kilku pokoleń rodziny Edmunda, kilkuset hektarowy majątek ziemski nieopodal Pińska oraz byle jak zakopanego w piwnicy trupa niemieckiego oficera.

Schowani przez żołnierzy węgierskich za fałszywą ścianką towarowego wagonu w niemieckim kolejowym transporcie wojskowym, po dwu tygodniowej podróży wyrzuceni zostali na podwarszawskiej stacji Urle. Nie wiedząc gdzie się podziać, przycupnęli w okolicznej wiosce u przypadkowego spotkanego małorolnego wieśniaka.

– Mamo, czy nie ma już mleka? – zapytał Janek od kuchennego stolika, dmuchając na parującą z nakrywki wojskowej męażki szarą masę.

– Jest jeszcze trochę, ale to dla Leszka. Może dzisiaj krowa pani Józwiakowej da trochę więcej, to będziesz miał na jutro – odpowiedziała Maria.

Janek, korzystając że matka znikła na chwilę za przepierzeniem do drugiej izby, szybko wspaniał do kaszy parę szczypt cukru z płaskiej puszki po konserwie.

– Jasiu, jak ci nie wstyd – jęknęła Maria wracając do kuchenki. Janek zerknął na matkę zafascynowany; że też ona zawsze wszystko wie, nawet jak nie widzi!

Janek i Maria wyszli z domu przed ósmą. Do domu nauczycielki było dosyć daleko i najpierw trzeba było przejść prawie kilometrowy, rzadko zabudowany, odcinek żyrardowskiej szosy. Janek nie lubił tej drogi od czasu kiedy przed Świętami wracając z matką z miasta, już po ciemku, zostali zaskoczeni przez sowiecki samolot patrolowy.

Tamten samolot nadleciał nagle i jakby zawisł nad szosą. Po chwili rozbłysła olśniewająco białym światłem wolno opadająca na spadochronie flara. Matka i syn znieruchomieli na środku drogi, jak zahipnotyzowani. Tydzień wcześniej taki sam samolot zrzucił dwie bomby, z których jedna ciężko zraniła idącego poboczem starego mężczyznę. Po kilku minutach rozbłysła druga flara, potem trzecia. Kiedy zgasła ta ostatnia terkot „kukuruźnika” zaczął się oddalać na północ, na Błonie.

W świetle dnia szosa wydawała się bezpieczniejsza. W powietrzu nie było samolotu i tylko od strony Warszawy dobiegał przytłumiony ale nieustanny grzmot artylerii. Szybkim krokiem przemierzali rzadko zabudowany odcinek szosy i zbliżyli się do pierwszego większego skrzyżowania Grodziska.

Panował tu niecodziennie ożywiony ruch. Duża grupa kobiet i mężczyzn, pod nadzorem kilku młodocianych, ale uzbrojonych po zęby żołnierzy Wehrmachtu, kopała głęboki rów. Wykopany już odcinek, o szerokości około pięciu metrów a głęboki na przeszło trzy, biegł od miasta wzdłuż południowej strony ulicy żyrdowskiej i prawie już dobiegał do Chełmońskiego, tuż przed sklepem do którego Janek chodził często po kartkowy chleb i buraczaną marmoladę.

– Mamo, co oni tu robią? – spytał Janek. – Jeszcze przedwczoraj nikogo tu nie było.

Maria chwyciła chłopca za rękę i pociągnęła go na przeciwną stronę ulicy.

– Chodź szybciej, bo się spóźnimy – powiedziała szorstko, sparaliżowana strachem że stojący nie opodal żołnierz może się odwrócić i kazać jej dołączyć się do pracujących ludzi. A w domu zostali roczny Leszek i trzyletnia Ewunia pod opieką niezupełnie jeszcze wydobrzałej po powstańczych ranach Jańci.

Nadrabiając solidnie drogi, aby oddalić się jak najbardziej od kopiących rów, Maria i Janek cofnęli się do Kresowej, doszli do torów kolejowych i wzdłuż nich do Bałtyckiej. Na wysokości kościoła parafialnego skręcili w Kościelną i później w Cichą, w stronę cmentarza. Nie daleko przed ulicą Montwiłła, po lewej stronie, stała trzypiętrowa kamienica w której na pierwszym piętrze mieszkała Jastrzębska.

Maria, obserwując uważnie nielicznych przechodniów i trzymając Janka za rękę, przeszła obok wejścia do kamienicy bez zatrzymania. Po kilkudziesięciu krokach skręcili w prawo i przeszli na drugą stronę uliczki. Wracając, zatrzymali się na chwilę na wprost wejścia i upewniwszy się że nikt podejrzany się nie kręci, zdecydowanym krokiem przecięli brukowaną kocimi łbami jezdnię i znikli w wąskiej bramie.

Na pierwszym piętrze Maria zapukała w umówiony sposób do drzwi na prawo. Po chwili otworzyły się one i starsza, bardzo starannie ubrana, kobieta wyciągnęła rękę do Janka, zapraszając go do wejścia i cichym, ale wyraźnym głosem powiedziała do Marii:

– Dzisiaj wrócimy wcześniej bo mam tylko połowę kompletu, chyba koło drugiej.

Maria kiwnęła głową i równie cicho odrzekła:

– Drzewo przyniosę pani jutro, bo dzisiaj nie zdążyłam zabrać.

A do Janka:

– Słuchaj pani we wszystkim synku.

Nie zwlekając odwróciła się w kierunku schodów. Jastrzębska uśmiechnęła się i delikatnie zamknęła drzwi wejściowe. Z ciemnego przedpokoju przeszli do niewielkiego prostokątnego saloniku, na którego środku stał owalny stół. Dookoła ustawione były rozmaitego rodzaju krzesła. Był nawet obrotowy stółek od pianina. Pani Jastrzębska wskazała Jankowi wolne krzesło obok szczupłutkiej dziewczynki z rudymi warkoczykami. Poza „marchewką” siedziało przy stole dwóch krótko ostrzyżonych, prawie identycznych, chłopców i jasnowłosa dziewczynka z ogromnymi niebieskimi oczami. Cztery inne krzesła były nie zajęte. W rogu pokoju, na błyszczącym arkuszu żelaznej blachy przybitym do podłogi, stał rozpalony żeliwny piecyk w kształcie beczułki. Z jej górnego denka wychodziła pionowo okrągła rura i po załamaniu się na wysokości głowy średniego człowieka ginęła w dziurze wykutej w szerszej ścianie białego kaflowego pieca.

Okolo południa pani Jastrzębska przerwała lekcje i podała drugie śniadanie. Był jak zwykle czarny chleb z buraczaną marmoladą. Z dużych kubków parowała zabieleną puszkowym mlekiem namiastka herbaty. Janek jadł ze spuszczonej oczami nie śmiał podnieść głowy. Dwóch bliźniaków i „marchewkę” znał z przed Świąt, ale Olę widział po raz pierwszy. Pani Jastrzębska powiedziała na wstępie, że tatuś Oli zginął w powstaniu warszawskim i że ona z mamą uciekły w drodze do obozu w Pruszkowie. Gdy w końcu odważył się zerknąć w kierunku „nowej”, błękitne oczy umknęły w bok spłoszone.

W połowie lekcji rysunku rozryczały się syreny alarmowe. Pani Jastrzębska natychmiast podniosła się z krzesła mówiąc:

– Zostawcie wszystko dzieci, wyjdźcie do przedpokoju, ubierzcie się i zaczekajcie na mnie.

Kiedy ostatni Janek wyszedł za drzwi, podeszła do stojącego w kącie wiadra z wodą i starannie zalała ogień w piecyku, wzniesając obłoki pary. Zeszli do mrocznej piwnicy prawie po omacku. Na samym dole stromych schodów zatrzymali się i pani Jastrzębska zapaliła knot resztki kościelnej gromnicy. Nie opodal, wzdłuż wilgotnej ceglanej ściany, stała długa drewniana ława. Usiedli na niej wszyscy bez słowa, dziewczynki z jednej, a chłopcy z drugiej strony nauczycielki.

Jastrzębska miała specjalną umowę z matką Janka. Ponieważ Maria mieszkała daleko, była w domu sama popołudniami i nie mogła zostawić Ewy i Leszka bez opieki, więc nauczycielka zgodziła się odprowadzać Janka po lekcjach do domu za dodatkową ilość drewna na opał. Teraz, czekając w piwnicy z samym już tylko Jankiem na kolejną przerwę w bombardowaniu, żałowała że się na to odprowadzanie zgodziła.

Bombardowania sowieckie były coraz częstsze a to dzisiejsze trwało już przeszło godzinę. Nie były to bombardowania masowe, ale bardzo nękające. W kilkunastominutowych odstępach nadlatywały grupy dwupłatowych „kukuruźników” i zrzucały po kilkanaście niewielkich, ale straszliwie gwizdzących bomb, w różnych punktach miasta. Najczęściej bomby spadały na szosę żywardowską i właśnie do jednego z domów przy tej szosie miała Jastrzębska odprowadzić Janka.

Powrót był dla chłopca podniecający, szczególnie ten ostatni odcinek wzdłuż szosy. Na odgłos oddalających się samolotów, wybiegali z sieni przypadkowego domu i szybkim krokiem podążali poprzez ogrody, podmiejskie pastwiska, często przeskakując połamane płoty i błotniste rowy. Na dźwięk zbliżających się ponownie samolotów, wpadali do innej przypadkowej sieni.

Maria odetchnęła z ulgą gdy drzwi wejściowe otworzyły się nagle i wpadł zadyszany i umazany w błocie Janek. Za chwilę ukazała się również zmęczona Jastrzębska.

– Coś długo to trwało dzisiaj – westchnęła nauczycielka siadając na kuchennym taborecie. – Jeśli pani pozwoli to napiłabym się czegoś gorącego. Od wschodu też grzmi coraz głośniejsze. Coś się chyba szykuje.

– Zaraz będzie herbatka, proszę zdjąć Płaszcz – zaprosiła Maria.

– Odpocznę chwilę i muszę wracać, ale drzewa dzisiaj nie zabiorę bo jestem za bardzo zmęczona. Może przyjdę jutro, jeśli będzie spokojniej.

– Proszę się nie martwić. Dzisiaj Nowak przywiózł jedną furę drzewa a jutro ma dostarczyć drugą. Poproszę go aby zawiózł pani to co się należy – powiedziała Maria i dodała do Janka – Po jedzeniu nigdzie nie idź. Trzeba ponosić drzewo do szopy.

Około trzeciej, po zjedzeniu kartoflanej zupy z kromką chleba posmarowaną szpikiem kostnym, Janek wyszedł na dziedziniec i spojrzął z niechęcią na spory stos grubo pociętych bierwion. „Trzeba to wszystko ponosić do szopy a Rysiek mieszkający za glinianką mówił wczoraj, że znalazł nie wystrzelony pocisk do zenitówki” – mruknął do siebie. Z westchnieniem otworzył drzwi szopy i wrócił do stosu po pierwsze naręcze drewna. Nagle przypomniał sobie, że mama już od kilku dni mówiła, że potrzebuje czegoś od matki Ryśka, które Janek mógłby przynieść. A więc jak się pośpieszy z drewnem to może mama pozwoli mu pójść do kolegi i będzie mógł zobaczyć ten pocisk. A może nawet zdołają go otworzyć i zobaczyć co jest w środku. Drewna na podwórku zaczęło szybko ubywać. Janek w kucki nakładał na lewą rękę kilka bierwion, z których ostatnie przewyższało jego głowę. Podpierał je prawą ręką i podnosząc się z trudem niósł ładunek do szopy.

W trakcie kolejnego niesienia, kiedy połowa drewna była już szopie, usłyszał nasilający się terkot „kukuruźników”. Zatrzymał się i zadarł głowę w ich kierunku. Ponad bierwionami zobaczył na niewielkiej wysokości jeden z samolotów, który jakby nieruchomo zawisł w powietrzu. Po chwili od samolotu oddzielił się spory przedmiot i zaczął spadać z narastającym wyciem. Po kilku sekundach przedmiot zniknął za pobliskimi drzewami i w następnym momencie świat zawirował w ogłuszającym huku rozrywającej się o kilkadziesiąt metrów bomby. Podmuchał powietrze rzucając Janka i jego ładunek o kilka metrów do tyłu. Bierwiona rozsypały się w powietrzu a jedno z nich padając uderzyło chłopca w głowę. Janek stracił przytomność.

* * *

Maria obudziła się nagle. Było jeszcze zupełnie ciemno i coś było nie tak. W pierwszej chwili nie wiedziała o co chodzi. Sięgnęła po stojący na pobliskim stole, przywieziony z Pińska, budzik i przybliżyła go do krótkowzrocznych oczu. Była trzecia dziesiąta. Odstawiając budzik dotarło do niej, że było zupełnie cicho. Od strony Warszawy nie dochodził grzmot artylerii. Leżąc na plecach wsłuchiwała się w tą złowrogą ciszę przerywaną tylko pojękiwaniem Janka i od czasu do czasu pokaszliwaniem trochę przeziębionego Leszka. Wczoraj zaczęła się już druga połowa stycznia i w ciągu ostatnich dni napięcie niepewności stale wzrastało. Niemcy byli coraz bardziej nerwowi i coraz więcej ich wojskowych ciężarówek wyładowanych sprzętem i ludźmi, obrzucanych bombami i ostrzeliwanych przez sowieckie samoloty, podążało żywardowską szosą na zachód. Maria zaczęła się w duchu modlić, jeszcze raz dziękując Najświętszej Paniencie za opiekę nad ich rodziną. Ostatni tydzień był straszny. Najpierw eksplozja tej bomby na szosie żywardowskiej, o niecałe sto metrów od ich domu. Wybuch zaskoczył ją w kuchni i rzucał na gorącą płytę. Nie zważając na ból wpadła do pokoju i z przerażeniem zobaczyła leżącą na podłodze Ewunię i przysypanego w łóżeczku Leszka odpadłym z sufitu tynkiem. A wyskakując z domu ujrzała leżące wśród rozrzuconych bierwion Janka. Na szczęście skończyło się tylko na

bolesnym, ale powierzchownym oparzeniu jej prawej ręki i dużym guzie na czole Janka. Ewa i Leszek wyszli bez zadraśnięcia.

Wczoraj skończyły się tajne komplety Janka. W czasie wielkiego bombardowania sowieckiego mierzona w niemiecką kolumnę bomba eksplodowała na tyłach kamienicy Jastrzębskiej, rozwalając prawie całkowicie klatkę schodową i poważnie uszkadzając prostokątny salonik. Pół godziny wcześniej skończyły się lekcje i Jastrzębska odprowadzała właśnie Janka do domu.

Marii zdawało się, że cisza przeciąga się w nieskończoność. W ostatnich tygodniach też zdarzały się przerwy w nawale artyleryjskiej, ale chyba nigdy tak długie. Ponownie wyciągnęła rękę po budzik i ze zdumieniem stwierdziła, że upłynęło zaledwie pół godziny od chwili gdy się obudziła. Mimo niepokoju, chwilowo odprężona panującą ciszą, przewróciła się na bok i zasnęła.

* * *

Pokój stołowy był duży i bogato umeblowany. Wchodząc z kuchni, po prawej stronie, znajdował się oszklony kredens. Po lewej, pod oknem, stała ozdobna serwantka a pośrodku pokoju, pod kryształowym żyrandolem i na grubym dywanie, stał duży stół otoczony ośmioma krzesłami. Na ścianie, między zasłoniętymi szczelnie oknami, wisiało duże owalne kryształowe lustro. Meble były dębowe, bogato ornamentowane i stanowiły harmonijny komplet.

W pokoju panował półmrok. Przy stole obok Marii siedział Edmund, a na przeciw młody przystojny mężczyzna w mundurze kapitana Wehrmachtu. Edmund pochylony nad stojącym na stole radiem wsłuchiwał się w słabo słyszalny wśród trzasków głos polskiego spikera. Maria, nie śmiąc podnieść oczu, czuła na sobie palący wzrok oficera.

– Pani Mario ja już muszę iść – usłyszała głośny szept z naprzeciwka. – Jutro wyjeżdżam na front wschodni, ale wrócę i panią odnajdę. Niech mi pani da jakiś drobiazg na znak sympatii i nadziei.

Maria zarumieniła się i spojrzawszy na męża, powoli wstała z krzesła, weszła do przyległej sypialni i po chwili wróciła z kościanym różańcem w rękę. Podała go bez słowa kapitanowi, który przyjął go i skłoniwszy się wyszedł zostawiając stojącą nieruchomo Marię i całkowicie zaabsorbowanego radiem Edmunda.

* * *

Niedaleki wybuch wstrząsnął domem i wyrwał Marię ze snu. Usiadła na łóżku i instynktownie spojrzała w stronę śpiących dzieci żadne się nie obudziło. Tylko Janek zaczął ciapać ustami, jakby coś smakował. Od strony Warszawy znów dochodził głuchy grzmot artylerii, częściowo zagłuszony rykiem silników i chrzęstem gąsienic kolejnej niemieckiej jednostki pancerniej wycofującej się na zachód po szosie żyrardowskiej.

Maria przybliżyła budzik do twarzy. Do świtu było nie daleko, ale Janek już nie idzie do szkoły. Po chwili wahania położyła się z powrotem na łóżku. „Wielki Boże – westchnęła – już do końca życia będę nosić to brzemię”. Sen o pożegnalnym wieczorze z Austriakiem powtarzał się często, w różnych wariantach. A każdy z nich bardziej romantyczny niż poprzedni i każdy coraz dalszy od straszliwej prawdy.

* * *

Kapitan Helmut Straus pochodził z Wiednia. Wcielony już jako oficer do armii niemieckiej, był dowódcą zmotoryzowanej jednostki Wehrmachtu. Przeniesiony do Pińska, od kilku tygodni był na kwaterze w domu Edmunda i Marii. On sam zajmował pokój gościnny, a jego żołnierze, w większości Węgrzy, ulokowani byli w osobno stojącej służbówce. Na dziedzińcu stały cztery opancerzone ciężarówki z czołgowymi gąsienicami w miejsce tylnych kół. Przez pierwsze dwa tygodnie Helmut przychodził tylko na noc, ale w trzecim zażądał przyrządzenia mu posiłków i wyraził chęć spożywania ich przy wspólnym stole z Marią i Edmundem. Po jednej z kolacji przyniósł ze „swojego” pokoju niewielkie radio lampowe i pozwolił Edmundowi słuchać sowieckiej stacji w języku polskim. Od tego wieczoru rytuał powtarzał się regularnie. Po kolacji, kiedy służąca Mania zbierała ze stołu, Helmut szedł po radio i później siedzieli przez kilka godzin we trójkę przy wielkim stole. Edmund całkowicie zajęty radiem, a Helmut bawiący Marię dowcipami i opowiadaniem z życia „śmietanki wiedeńskiej”.

Każdego dnia Helmut coraz goręcej spoglądał na Marię i sytuacja stawała się dla niej coraz bardziej niezręczna. A Edmund zachowywał się jakby nic nie widział. Jednego dnia Maria próbowała się wymówić bólem głowy, ale Edmund huknął na nią, że sam ze szkopem nie będzie siedział przy stole.

Ostatnia kolacja odbyła się jak zwykle. Jedynie Helmut wydawał się w bardzo zmiennym humorze. Raz ożywiony, tryskający humorem a zaraz później zgasły i zamyślony. Po kolacji mówił mało i tylko

coraz natrętniej wpatrywał się w Marię. W pewnym momencie wstał, przeszedł na drugą stronę stołu, usiadł na krześle koło Marii, wziął ją za rękę i rzekł:

– Pani Mario ja już muszę iść aby się spakować. Jutro wyjeżdżam na front wschodni. Nie wiem czy wrócę...

Maria wyrwała rękę, wstała i szybkim krokiem wyszła z salonu do sąsiadującej z nim sypialni. Helmut zerwał się za nią i zrobił dwa kroki w tym samym kierunku. Edmund podniósł głowę z nad radia i trochę nieobecny wzrokiem spojrzął na kapitana zmierzającego w kierunku ich sypialni.

– Dokąd pan idzie? – zapytał.

Kapitan zawahał się chwilę, ale nie odwrócił się i tylko machnąwszy ręką zapukał do zamkniętych drzwi. Edmund zerwał się z krzesła i kilkoma susami przyskoczył do oficera. Ten odwrócił się nagle i położył rękę na kaburze pistoletu. Edmundowi krew uderzyła do mózgu. Bez zastanowienia się kopnął kapitana w gołę i kiedy ten instynktownie zgiął się do przodu, złapał go za włosy i z całej siły wyrzucił jego twarzą o swoje kolano. Głowa oficera odskoczyła jak piłka i wróciła do prawie pionowej pozycji. W tym momencie Edmund prawą pięścią uderzył z całej siły w lewą skroń kapitana. Austriak zwałił się na podłogę. Edmund z pianą na ustach zaczął kopać leżącego w milczącej furii.

Maria nie słyszała początku jednostronnej walki. Kiedy dotarły do niej stłumione odgłosy kopnięć, otworzyła drzwi i zobaczywszy co się dzieje próbowała odciągnąć Edmunda od nieprzytomnego Helmuta. Na próżno. Odepchnął ją brutalnie i kontynuował kopanie, aż mu sił zabrakło. Kiedy w końcu zwałił się na krzesło kompletnie wyczerpany, Austriak już nie żył.

* * *

Maria leżała na wznak złana potem. Minął już prawie rok od tego wieczoru i jeszcze ani razu nie wrócili z Edmundem do tego tematu. Po przyjeździe do Grodziska, na jesieni ubiegłego roku, zwierzyła się Jańci i tylko ona jedna, poza nimi, wiedziała, że po ochłonięciu zaciągnęli trupa do kuchni, wrzucili do piwnicy pod podłogą i tam go Edmund w nocy zakopał wraz z tym nieszczęsnym radiem.

Za oknem zaczęło szarzeć i Maria usiadła na łóżku. Trzeba wstawać. Póki dzieci śpią trzeba iść przez łąkę do Józwiakowej po mleko dla Leszka. Później Janka trzeba zbudzić aby poszedł do sklepiku po kartkowy chleb i marmoladę, jeśli szosa jest pusta. Trzeba też przygotować miejsce na stole, bo zaraz przyjdą od sąsiadów, gdzie spali, Jańcia i Józik i będą malować kolejną partię drewnianych zabawek na sprzedaż.

Przed podniesieniem się z łóżka Maria zmówiła krótką modlitwę dziękczynną do Matki Najświętszej. Ona i Święty Józef czuwali nad ich rodziną. Przed kilku dniami zjawił się nagle wychowanek Jańci, dwudziestoletni Józik, z którym zgubili się w trakcie ewakuacji Warszawy po powstaniu.

Janek obudził się sam. Przez chwilę wpatrywał się w wystające z dziury w suficie łodygi trzciny, ale szybko zamknął oczy mając nadzieję, że wróci rozkoszny sen spaceru z Olą. Szli gdzieś po łące trzymając się za ręce i twarz Oli była coraz bliżej jego twarzy. Czuł jej przyśpieszony oddech, a bławatkowy błękit jej oczu wypełniał całe jego pole widzenia. Niestety sen nie wrócił. I trzeba wstawać. Mama już któryś raz z rzędu dopominała się z kuchni aby wstawał, a ciocia Jańcia siedząca niedaleko przy stole widziała, że już nie śpi. Z zewnątrz, od strony szosy, dochodził nieustanny warkot silników, chrzęst gąsienic i stłumione krzyki.

Kiedy Janek siedział już przy stole jedząc swoją poranną kaszę, wszedł Józik. Był bardzo podniecony:

– Niemcy uciekają w popłochu po wczorajszym bombardowaniu – rzekł od progu. – Chodźmy zobaczyć.

– Mów ciszej, dzieci jeszcze śpią – szepnęła ciocia Jańcia kładąc palec na ustach.

– Już od kilku dni szosa jest pełna Niemców jadących na zachód. Ale dzisiaj to już koniec Ciociu, oni wieją w panice. Chodźmy zobaczyć, jest pełno ludzi wzdłuż szosy – powtórzył Józik odwracając się w kierunku drzwi. Janek zerwał się od stołu zostawiając nie dojeżdżoną kaszę i skoczył za kuzynem.

Wzdłuż szosy żyrardowskiej stały grupy grodziszczan wpatrując się w jadące jedna za drugą wyładowane sprzętem i ludźmi ciężarówki. Równoległe do ciężarówek przeciskały się między bezładnymi szeregami maszerujących żołnierzy motocykle, z przyczepami lub bez. Od czasu do czasu przejechał osobowy samochód lub bryczka zaprzęgnięta w chudego konia. Józik i Janek dołączyli się do grupy przy szosie. Maszerujący żołnierze krzyczeli coś głośno do tych na przejeżdżających ciężarówkach. Wszyscy się bardzo śpieszyli. W pewnym momencie, z jednej ciężarówki wypadł duży ciemno zielony tłumok i miękko spadł na szosę. Siedzący na tylnej klapie żołnierz krzyknął coś głośno i zaczął machać ręką zapraszającym gestem. Kilku piechurów rzuciło się do jadącego samochodu i biegnąc próbowali złapać wyciągniętą rękę. Wywiązała się szamotanina i przepychanie. Dwóch żołnierzy upadło na bruk, dwóch innych dało za wygraną, aż w końcu jednemu udało się uchwycić tylnej klapy, wciągnąć się i usiąść na niej okrakiem. Po krótkiej bezowocnej próbie wciśnięcia się do wnętrza ciężarówki, szczęśliwiec ściągnął z pleców wojskowy plecak uwieńczony zrolowanym kocem i rzucił go na szosę,

prawie pod nogi Józika. Ten złapał go i natychmiast się odwrócił, zasłaniając zdobycz od kilku wyciągniętych rąk.

Paniczna ucieczka Niemców trwała przez wiele godzin. Kiedy strumień ciężarówek i piechurów zaczął się przerzedzać, Józik złapał Janka za rękę i pociągnął w stronę domu.

– Chodź, już wystarczy, zobaczymy co jest w plecaku – rzekł znużony.

Od rana kilkakrotnie wracali do domu, żeby ochłonąć, a w południe żeby coś zjeść. Teraz kiedy kolumna uciekinierów zaczęła rzednąć mogło być niebezpiecznie. Rosjanie mogli nadejść lada chwila i mogło dojść do wymiany strzałów z ostatnimi uciekinierami.

Janek był rozczarowany zawartością plecaka niemieckiego żołnierza. Najciekawszą była okrągła gumka do ścierania z oprawioną w metalowy krążek dziurką pośrodku. Było również parę fajnych ołówków i bloczek papieru listowego z parą małych kolorowych niedźwiadków wydrukowanych w prawnym górnym rogu każdej kartki.

Józik bardzo się ucieszył z ciepłego wojskowego koca, dwóch par ciepłych kalesonów i kilku par wojskowych skarpet. Maria długo przyglądała się niewielkiemu zdjęciu siedzącej młodej kobiety z kilkuletnim chłopcem na kolanach, ubranym w tyrolskie spodenki.

W środę wieczorem, 17-go, zjawił się Edmund. Od osiedlenia się w Grodzisku bardzo rzadko nocował w domu i przychodził tylko w ciągu dnia aby rozlać do butelek przyniesioną w kanistrze wódkę lub przygotować do malowania partię drewnianych koników, zajączków czy wagoników na kółkach. Stale obawiał się, że Niemcy go szukają. Nawet Maria nie wiedziała dokładnie gdzie nocował. Mówił, że na wsiach pod Grodziskiem. Przez ostatnie miesiące przebywał najczęściej w Starych Chełmoniach, u stolarza, który dostarczał drewna na zabawki.

Następnego ranka szosa żyrdowska była prawie pusta. Edmund z Jankiem szli środkiem brukowanej jezdni omijając przymarzniałe błotne dziury wygniecione czołgowymi gąsienicami. Rowy, po obu brzegach szosy, wypełnione były po brzegi „odpadkami” wojny. Na przestrzeni nie całego kilometra, między ich domem i skrzyżowaniem z ulicą Chełmońskiego, widzieli porzucone dwa osobowe samochody, wywróconą bryczkę jeszcze zaprzęgniętą w martwego konia i ciężarówkę – konwulsyjnie wykręconą prostopadle do szosy. Tylne jej koła były w rowie a przednie już na polu. Wśród porzuconych pojazdów leżały gęsto trupy niemieckich żołnierzy i od czasu do czasu cywilów, ofiar wtorkowego sowieckiego bombardowania uciekającego Wehrmachtu. Maria nie chciała puścić Janka samego po zombardowanej szosie i poprosiła Edmunda żeby mu towarzyszył. Szli więc do sklepiku na rogu w nadziei, że dostaną jeszcze trochę kartkowego chleba i buraczanej marmolady. Przed nimi dreptała starsza zgarbiona kobieta, a z tyłu popiskiwał nie nasmarowanymi kołami drabiniasty wózek ciągniony przez dwóch mężczyzn. Kiedy wyszli z domu zasłaniającego sklepik i kończący się przed nim rów, zobaczyli sporą grupę ludzi otaczającą zakończenie rowu i w milczeniu wpatrującą się w jego głąb. Podeszli do grupy i spojrzeli w dół. Na dnie, odwrócony do góry gąsienicami stał na wieżyczce niemiecki czołg. Bliższa gąsienica znajdowała się prawie na wysokości krawędzi rowu i gdyby się dobrze rozpedzić to można by na nią wskoczyć. Czołg spalił się doszczętnie. Nie było już prawie widać ochronnej zielonej farby i nawet czarny krzyż na wieżyczce ledwie był widoczny spod nierównego nalotu sadzy. Na dnie rowu, spod lewej strony wieżyczki, wystawała do łokcia zwęglona ludzka ręka. Zaciśnięte jej palce trzymały grudę szerniałej ziemi. Z prawej strony wieżyczki wystawał żołnierski but z kawałkiem nogi. Czuć było w powietrzu, już wystygły, ale nadal duszący swąd spalonego mięsa.

Jankowi zrobiło się niedobrze. Odwrócił się i pobiegł w stronę sklepiku. Na parę kroków przed drzwiami zatrzymał się bezradnie czując, że cała zawartość żołądka podjeżdża do góry. Po następnym skurczu zdążył tylko odwrócić głowę w bok i zwymiotował raz, potem drugi i trzeci. Gdy wreszcie skurcze ustały, wytarł twarz rękawem za dużej kurtki i z paskudnie kwaśnym smakiem w ustach usiadł na dużym głazie leżącym przed sklepem. Zapomniał, że był z ojcem. Bał się być sam, chciał biec do domu, do mamy. Po kilku chwilach ochłonął nieco i przypomniał sobie po co tu przyszli. Podniósł oczy i zobaczył stojącego obok ojca. Weszli do sklepu do połowy wypełnionego ludźmi. Głośny gwar głosów otrzeźwił go ostatecznie. Jakiś męski głos górował nad innymi:

– a dobrze im tak. Kazali kopać rów dla rusków, a sami w niego wpadli.

Obok Janka przygarbiona kobieta mówiła półgłosem do drugiej:

– Pani, ta z naprzeciwka mówiła, że to ktoś z naszych podpalił butelkami z benzyną i zanim ta amunicja w czołgu nie wybuchła to te szkopy się żywcem smażyły.

Janek precyzyjnie się do lady i sięgnął do kieszeni po kartki i pieniądze, ale sprzedawczyni zauważywszy go rozłożyła bezradnie ręce i powiedziała:

– Nic dzisiaj nie mam chłopcze. Marmolady nie ma już od trzech dni, a piekarnia zamknięta z braku mąki. Jeden chłop obiecał dostarczyć kilka worków kartofli, ale nie wiem kiedy przyjedzie. Powiedz mamie, że te kartofle to bez kartek. Zresztą te niemieckie to chyba już nie ważne.

Wyszedszy ze sklepu Janek zawahał się. Jakaś siła przyciągała go w stronę wywróconego czołgu, mimo makabrycznego widoku zwęglonej ręki i nogi i mdlącego smrodu. Mimo oporów ojca skierował

się ponownie w stronę rowu. Stając nad krawędzią nie patrzył w dół. Zatrzymawszy wzrok na boku czołgu starał wyobrazić sobie jego wnętrze. Musiało tam być podobnie jak w tej tankietce co przed Świętami stacjonowała przez parę dni przed ich domem. Przypomnił sobie panikę w jaką wpadł gdy nie mógł otworzyć drzwi i wyjść, a niemiecki szofer tankietki gdzieś odszedł. Tylko drzwi tankietki miały małe okienko, a ten czołg nie miał ani drzwi ani okienek. I ci ludzie z czołgu nie mieli którejś wyjść. A ilu ich tam było? w drodze powrotnej do domu minął ich na szosie żywardowskiej odkryty wojskowy łązik z czterema żołnierzami w środku. Ubrani byli w szare płaszcze, a na ich futrzanych czapkach widniały duże czerwone gwiazdy.